



ZBIGNIEW NIENACKI

PAN SAMOCHODZIK
i CZŁOWIEK Z UFO



PROLOG

Zbigniew Nienacki
Pan Samochodzik i człowiek z UFO

powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Katarzyna Kołodziej
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura
Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-100-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Zdarzyło się to miesiąc przed moim służbowym wyjazdem do stolicy Kolumbii, Bogoty. Pracowałem wtedy bardzo intensywnie, przygotowując materiały do referatu, jaki w Bogocie na międzynarodowym kongresie, poświęconym sprawie ochrony muzeów przed coraz liczniejszymi włamaniami, miał wygłosić mój bezpośredni zwierzchnik, Marczak, dyrektor Centralnego Zarządu Muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Tezy naszego referatu były następujące: na całym świecie mnożą się kradzieże dzieł sztuki i w związku z tym muzea bogatych krajów coraz bardziej udoskonalają systemy zabezpieczające zbiory przed złodziejami. Są to systemy niezwykle kosztowne, wyposażone w skomplikowane aparatury elektroniczne. Biedniejszych państw nie stać na ich zastosowanie. A zresztą, jak wynikało z faktów, które skrętnie odnotowywałem, doskonaleniu systemów zabezpieczających towarzyszyło zawsze doskonalenie sposobów włamań i kradzieży. Świat był więc widownią swoistej eskalacji: coraz droższe urządzenia zabezpieczające i coraz sprytniejsze sposoby ich unieszkodliwiania. Jak długo miała trwać ta eskalacja?

Stwierdziliśmy w naszym referacie, że indywidualni złodzieje dzieł sztuki należą już do przeszłości, zamiast nich powstały ogromne, międzynarodowe gangi przestępcze. Tym właśnie gangom powinno się przeciwstawiać nie coraz lepsze środki zabezpieczające, ale międzynarodową organizację do zwalczania gangów, złożoną z rozmaitych specjalistów do walki z kradzieżami dzieł

sztuki. Tylko powstanie takiej organizacji mogło – naszym zdaniem – postawić tamę narastającej fali włamań i kradzieży do muzeów. Albowiem dane statystyczne na ten temat były po prostu przerażające. W ciągu minionych czterech lat na całym świecie skradziono czterdzieści dwa tysiące dzieł sztuki o łącznej wartości trzydziestu milionów dolarów. Codziennie łupem złodziei padało średnio od czterystu pięćdziesięciu do pięciuset takich dzieł...

Pewnego dnia, gdy mozoliłem się nad doborem najwłaściwszych słów dla zobrazowania tych zagadnień, do mojego pokoju w ministerstwie wniesiono nagle drugie biurko. W ślad za nim zjawiała się dziwna osoba. Z początku nie wiedziałem, czy to kobieta, czy mężczyzna, bo miała krótko przycięte włosy, zmierzwiłone i przypominające ptasie gniazdo. Nosiła ta osoba spodnie i coś w rodzaju luźnej, wełnianej tuniki zrobionej na drutach, podobnej do worka na pszenicę. Na jej szyi wisiał przedziwny naszyjnik – na grubym łańcuszku kołysały się drewniane klocki zupełnie takie same, jakimi kiedyś bawiłem się w przedszkolu. Ile ta osoba mogła mieć lat? Dwadzieścia osiem? Czterdzieści? Sześćdziesiąt? Tak na dobrą sprawę widziałem tylko jasną cerę policzków, mocno zacisnięte usta oraz wyraźnie zarysowany podbródek bez zarostu.

– Czego pan lub pani sobie życzy? – zwróciłem się do niej uprzejmie.

– To pan o mnie nic nie wie? – zdumiała się owa osoba głosem kobiecym i miłym dla ucha. – Jestem Florentyna, pańska sekretarka.

Przerażenie odebrało mi głos. Przypomniałem sobie kłopoty, jakie przeżyłem z poprzednią sekretarką, panną Moniką. Wówczas to Marczak zgodził się, żebym sam sobie wynalazł odpowiedniego współpracownika, niekoniecznie zresztą kobietę. A oto teraz przysłano bez mojej wiedzy jakąś pannę Florentynę, dziwną osobę z klockami na szyi.

Bez słowa wyszedłem z pokoju i udałem się do swego zwierzchnika.

Marczak unikał mego spojrzenia. Coś tam chrząkał, pomrukiwał, przesuwał papiery na biurku, a potem, zerknąwszy w okno, oświadczył urzędowym tonem:

– Dwa lata w pańskim dziale był blokowany wolny etat. Od dwóch lat obiecywał pan, że wynajdzie sobie sekretarkę i nic z tego nie wyszło. Nie stać nas na taką rozrzutność, panie Tomaszu. Proszę się więc nie dziwić, że w tych dniach minister raczył się osobiście zainteresować tą sprawą i musieliśmy przyjąć pannę Florentynę.

– Kim ona jest? – zapytałem grzecznie.

Marczak bezradnie rozłożył ręce.

– Nie wiem, panie Tomaszu. Minister wezwał mnie do siebie i powiedział jak do przyjaciela: „Prowadzisz ożywioną korespondencję z muzeami na całym świecie, wyjeżdżasz wkrótce do Bogoty, aby wygłosić referat. Panna Florentyna zna doskonale dziesięć języków. Taka osoba będzie ci bardzo potrzebna, choćby z tego względu, że referat należy przełożyć na kilka języków”. Odrzekłem ministrowi, że mogą to zrobić wynajęci tłumacze. Ale on znowu rzekł do mnie jak do przyjaciela: „Ta pani pracowała najpierw w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego, ale z jakichś tajemniczych względów wkrótce jej wymówiono. Potem zatrudniono ją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Niestety, jest osobą pozbawioną jakichkolwiek umiejętności dyplomatycznych i narobiła im mnóstwo kłopotów. Zadzwonili do mnie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (a wiesz, że musimy się z nimi liczyć) i poprosili, abym znalazł dla niej u nas jakąś pracę”.

– Nie uznaję protekcji – oświadczyłem.

– Ja także, panie Tomaszu – przytaknął gorliwie Marczak. – Ale w tym wypadku musimy ustąpić. Nasz minister mnie o to

poprosił, a jego poprosił inny minister. To jednak pana wina, że do tej pory nie znalazł pan sobie sekretarki.

– I co ja mam z nią zrobić? – westchnąłem.

– Nie wiem, panie Tomaszu – zakłopotał się szczerze Marczak.

– Może weźmiemy ją ze sobą do Bogoty, przyda się nam jako tłumacz w rozmowach z muzealnikami innych krajów. Nasz referat też przełoży na dziesięć języków.

Z ciężkim sercem wróciłem do swojego pokoju, gdzie zastałem pannę Florentynę siedzącą za wniesionym niedawno biurkiem i przeglądającą jakieś zagraniczne czasopismo.

Połowa referatu na kongres w Bogocie była już gotowa. Wręczyłem go jej i poleciłem, aby przetłumaczyła go na dziesięć języków.

– Przepraszam panią, ale jakie języki pani zna? – zapytałem.

– Angielski, niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, rosyjski, holenderski, grecki, duński. Mogę także dość swobodnie rozmawiać po japońsku, w języku suahili oraz papiamento.

– Papiamento? – Pomyślałem, że żartuje sobie ze mnie.

Lecz ona odparła z powagą:

– Papiamento jest językiem używanym przez ludność zamieszkującą Antyle Holenderskie. To mieszanina holenderskiego, hiszpańskiego, portugalskiego, francuskiego oraz języków afrykańskich. Znam również trochę...

– Nie, nie, dosyć – oświadczyłem błagalnie.

Od tej chwili przez prawie dwa tygodnie nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem w żadnym języku, nawet po polsku. Z początku próbowałem ją zagadnąć, pytałem o to i owo, ale zbywała mnie półsłówkami albo po prostu monosylabami. Zresztą tak naprawdę nie mieliśmy wspólnego tematu do rozmowy. Ona знаła dziesięć języków, ja natomiast byłem detektywem. Mnie interesowali zło dzieje dzieł sztuki i włamanie do muzeów. Ona sprawiała wrażenie

osoby zajętej jakimiś własnymi wewnętrznymi troskami i po prostu ograniczała się do wykonywania tego, co jej zleciłem.

Aż wreszcie po dwóch tygodniach usłyszałem znowu głos Florentyny. Przeglądała właśnie tygodnik włoski „Epoca” i nagle wykrzyknęła z największym entuzjazmem:

– Niech pan sobie wyobrazi, że, jak mówią dane statystyczne, do 1970 bardzo dużo Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, czyli *Unidentified Flying Objects*, zwanych w skrócie UFO, ukazywało się właśnie nad Kolumbią.

– I co z tego?

– Przecież mam z panami wyjechać do Bogoty. Ach, jakie to będzie cudowne, jeśli uda mi się tam porozmawiać z kimś, kto widział UFO.

– Panią interesują podobne sprawy?

– Ja po prostu żyję nimi dzień i noc! – wykrzyknęła niemal z dzikim entuzjazmem. – Przeczytałam wszystko, co napisano o UFO i ufoludkach. Koresponduję z największymi znawcami tego zagadnienia oraz z dziesiątkami ludzi w różnych krajach, którzy widzieli UFO, a nawet kontaktowali się z ufoludkami. Znajomość wielu języków jest w tym niezwykle przydatna.

– O tak, oczywiście – przytaknąłem ze zrozumieniem. – Przepraszam za niedyskretne pytanie: pani jest mężatką? Ma pani dzieci?

Florentyna zarumieniała się lekko i odparła z niechęcią:

– Nie wyszłam za mąż i mieszkam z mamusią. Kobieta ogarnięta pasją naukową nie może tracić czasu na głupie randki z mężczyznami. Dzieci też, oczywiście, nie posiadam.

– Wszystko jasne – kiwnąłem głową. – Tak więc UFO to pani jedyna namiętność. Z jej powodu wędruje pani od jednej instytucji do drugiej, nigdzie długo nie zagrzewając miejsca. Niestety, muszę panią poinformować, że i ja w żadne UFO nie wierzę. Uważam tę sprawę za wymysł pseudonaukowców i fantastów. Jeśli pragnie

pani pracować w moim dziale, to proszę nigdy przy mnie nie mówić o UFO, ufoludkach i tym podobnych historiach.

W odpowiedzi usłyszałem ciche:

– Zgadzam się, panie kierowniku...

A kiedy zerknąłem w jej stronę, zauważyłem, że odsunęła nieco kępkę kosmyków zasłaniających jej czoło i oczy. W tych oczach – o dziwo, bardzo dużych i bardzo ładnych – ujrzałem łzy. A choć ostrzegano mnie już wiele razy, iż łzy stanowią broń najczęściej używaną przez kobiety, poczułem głęboką skruchę, zrobiło mi się bardzo przykro i oświadczyłem łagodnie:

– Nie jestem kierownikiem tyranem. Przysięgam, że na wiele może pani sobie pozwolić. Postaram się tolerować pani ewentualne wychodzenie po zakupy w godzinach pracy, a nawet jeśli najdzie panią ochota, aby zatańczyć na własnym biurku, nie powiem złego słowa. Ale o jedno naprawdę błagam: ani słowa o UFO.

Zrozumiała. I odtąd znowu niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Aż wreszcie przyszedł dzień naszego odlotu do Bogoty i znaleźliśmy się w trójkę na międzynarodowym lotnisku na Okęciu. Dyrektora Marcza i mnie celnicy przepuścili do samolotu po pobieżnym tylko sprawdzeniu bagaży. Natomiast pannę Florentynę spotkała z ich strony wielka podejrzliwość. Zaprowadzili ją do specjalnego pomieszczenia, gdzie została poddana osobistej rewizji. Na szczęście panna Florentyna nie posiadała rzeczy zakazanych do wywozu i po jakimś czasie wraz z nami znalazła się w samolocie.

– Niech się pani nie martwi, bo to się niekiedy zdarza – pocieszył ją dyrektor Marczak.

– To mój przepiękny, nowoczesny naszyjnik wzbudził zainteresowanie celników – oświadczyła panna Florentyna. – Zbadali dokładnie wszystkie klocki, podejrzewając, że zawierają schowki, w których kryją się jakieś nieocłone towary.

A ja poczułem raptem strach na myśl, że z tak dziwacznie ubraną osobą będę musiał reprezentować nasz kraj za granicą. Dlatego zapytałem złośliwie:

– A pani tunika? Czy ona nie wzbudziła podejrzeń celników? Nie sądzi pani, że ta tunika trochę przypomina worek na pszenicę? O ile wiem, nie ma w naszym kraju zakazu wywozu worków na pszenicę. A jednak, jeśli ktoś wywozi taki worek...

– Stop! – odezwała się ostro czerwona ze złości panna Florentyna. – Pan nie ma gustu i nie zna się na nowoczesnej modzie. Tę tunikę sama zrobiłam szydełkiem, a mój naszyjnik wszystkim się podoba. Tak, tak, zauważyłam, że jest coś we mnie, co budzi pańską niechęć. Teraz wiem co: mój zbyt elegancki wygląd.

To powiedziawszy, panna Florentyna zajęła w samolocie fotel obok mnie i w ten sposób, niemal ramię w ramię, ale w milczeniu, odlecieliśmy do Bogoty.

ROZDZIAK I

Zaskakujące wydarzenie w Bogocie • Kto stracił głowę, a kto ją trzymał wysoko • Rozpacz dyrektora Marczaka • Florentyna trafia na ufologów • Na co chciałem pożyczyć pieniądze • Dobroć Florentyny • Piękna Mulatka • Co kryła czarna torebka? • Jak zostałem nazwany El Señor Cochecito • Czujność Florentyny

Był to chyba największy skandal, jaki w ostatnim czasie zdarzył się w historii muzealnictwa. Wszystkie światowe gazety pisały o nim na pierwszych stronach – nie szczędząc ironii, szyderstwa, a także wyrazów oburzenia i przestrogi. Po tygodniu informacje o owym skandalu zeszły na dalsze strony, ale nawet najskromniejsza notatka w tej sprawie zawsze zawierała odrobinę szyderstwa, i to pod adresem muzealników, których i ja jestem przedstawicielem. Czytając gazety, ludzie śmieli się z nas w tramwajach, metrach, kawiarniach i prywatnych mieszkaniach. Muzealnicy stali się obiektem dowcipów opowiadanych sobie na przyjęciach. Pewna wielka firma o światowej renomie o mało nie została zrujnowana, kilkunastu starszych wiekiem muzealników skierowano na emeryturę, wielu muzealnych detektywów, cieszących się dotąd zasłużoną sławą, poniosło szwank na honorze.

Skandal ów nastąpił podczas Międzynarodowego Zjazdu Muzealników, który odbywał się w Bogocie i poświęcony był sprawie zabezpieczenia muzeów przed coraz bardziej rozprzestrzeniającą się plagą włamań. Trzeciego dnia obrad, późnym wieczorem, gdy na mównicy w sali konferencyjnej hotelu Hilton znalazł się

przedstawiciel firmy Wilson and Company, specjalizującej się w systemach alarmowych, na salę dotarła wiadomość, że przed półgodziną grupa zamaskowanych włamywaczy uśpiła strażników, sforsowała idealny system alarmowy firmy Wilson and Company i zrabowała najcenniejsze eksponaty z magazynów słynnego na całym świecie Muzeum Złota w Bogocie. Wiadomość tę przyniósł inspektor policji don Salazar Esponoza. Niespodziewanie wszedł na salę konferencyjną, wskoczył na podium, dość szorstkim gestem odsunął z mównicy przedstawiciela firmy Wilson and Company i podniesionym głosem, z żywą gestykulacją właściwą Latynosom, powiadomił nas o włamaniu i kradzieży.

Tego, co się potem stało na sali konferencyjnej, po prostu nie potrafię opisać. Przedstawiciel firmy Wilson and Company zemdlony osunął się na podłogę, muzealnicy – szacowni przecież i godni panowie – poderwali się ze swych miejsc i zasypali inspektora setkami pytań, co spowodowało, że można było ogłuchnąć od wrzasku. Na własne oczy widziałem, jak dyrektor Luwru szarpał sobie włosy na głowie, przerażony, że podobna historia może się zdarzyć również i w Paryżu, a dyrektor British Museum, chłodny Anglik z nieodłączną fajką w zębach, upuścił tę fajkę na ziemię i, co gorsza, sam ją potem przydeptał i złamał. Nie będzie przesady, jeśli stwierdzę, że wszyscy zachowali się tak, jak gdyby na chwilę potracili zmysły. Nie będzie przesady, jeśli dodam, że jedynie dwaj ludzie pozostali spokojni: dyrektor Marczak i ja, jego urzędnik do specjalnych poruczeń. Siedzieliśmy spokojnie właśnie dlatego, że wczoraj na tej samej sali konferencyjnej dyrektor Marczak wygłosił referat, w którym staraliśmy się przekonać zebranych muzealników z całego świata, że stosowanie coraz doskonalszych systemów alarmowych nie ma sensu, gdyż jednocześnie doskonala się sposoby włamań. To, co się wydarzyło, potwierdziło naszą tezę.

Napisałem, że w ogólnej wrzawie i tumulcie tylko dyrektor Marczak i ja zachowaliśmy spokój. Był to jednak spokój pozorny.